

JACEK  
OSTROWSKI

**ZAGINIONA  
KRONIKA**



JACEK  
OSTROWSKI

**ZAGINIONA  
KRONIKA**





*Książkę tę dedykuję mojej ukochanej żonie,  
która wspierała mnie dzielnie  
w tym szalonym przedsięwzięciu.*



Wszystkie wydarzenia historyczne wymienione w tej książce  
oraz postacie, daty i miejsca są prawdziwe.

Natomiast wszystkie postacie współczesne są wymyślone  
przez autora, a ich ewentualne podobieństwo  
do kogokolwiek jest zupełnie przypadkowe i niezamierzone.





## PROLOG

Susza w Polsce trwała już od kilku lat. Stan wód z roku na rok zmniejszał się coraz bardziej, widmo jej braku zaglądało coraz śmieiej Polakom w oczy. Szczególnie na Wiśle sytuacja była ciężka, a w Warszawie wyglądało to wręcz tragicznie.

Z nurtu rzeki zaczęły się wyłaniać wielkie ławice piasku i błota.

W końcu władze miasta zdecydowały się na drastyczne kroki, postanowiono poradzić sobie z płyciznami w prosty i dość skuteczny sposób. Na brzeg zjechały wielkie koparki na gaśienicach i zaczęły ryc dno, a dziesiątki wywrotek wywoziły piach.

Nie było łatwo, co chwila należało prace wstrzymywać, a to przez najróżniejsze znaleźiska, jedno bardziej, inne mniej ważne.

Wydobyto zabytkowe rzeźby zrabowane przez Szwedów podczas słynnego potopu szwedzkiego, sporo elementów samolotów i dwa ruskie czołgi, czyli pozostałości po drugiej wojnie światowej.

Po tygodniu z dna wykopano wielką bryłę torfu, z której, ku przerażeniu robotników, wystawała ludzka ręka. W oczy rzucał się dziwny tatuaż na nadgarstku. Składał się z trzech swastyk, których granice były ułożone w okrąg tworzący obraz słońca.

Prace wstrzymano, wezwano policję i prokuratora. Obiekt pocięto ostrożnie na mniejsze kawałki, tak żeby wydobyć zwłoki, po czym przetransportowano je do miejskiego prosektorium. Tam miały czekać na sekcję, ale zanim do niej doszło, trup ku zaskoczeniu policji w tajemniczy sposób zniknął.

Przeprowadzono bardzo wnikliwe śledztwo, przesłuchano wszystkich mających jakikolwiek kontakt z nieboszczykiem, ale mimo to zwłok nie odnaleziono. Tak, jakby się rozpułyły w powietrzu.

Po kilku miesiącach przysłowiowego dreptania w miejscu dochodzenie umorzono, sprawa trafiła do archiwum.

Miął rok.

Na Żoliborzu stała zapuszczona piętrówka. Chwasty sięgały okien, szyby zostały częściowo powybijane, a te, co jeszcze tkwiły w przegniłych ramkach, nie pamiętały wody i trudno było coś przez nie dojrzeć. Metalowe ogrodzenie, krwistoczerwone od wszechobecnej rdzy, wyglądało tak, jakby się miało za chwilę rozpaść. Na furtce wisiał łańcuch, a spinała go wielka staroświecka kłódka.

Sąsiedzi dobrze znali ten dom, mijając go, przechodzili na drugą stronę ulicy. Czasem zerkali z lękiem w jego okna i szeptali sobie do ucha niestworzone historie z nim związane.

Nikt tu nikogo nie widział od lat, nikt nieproszony nie odważył się przekroczyć jego progu.

Pewnej nocy, tuż przed północą, na posesję wtargnęło dwóch wyrostków. Rozpruli siatkę, łomem wyłamali zamek u drzwi i weszli do środka.

Długo tam nie zabawili. Po kwadransie uciekli w wielkim popłochu, z głośnym krzykiem.

Jeden z nich wskoczył do odjeżdżającego tramwaju, drugi nie zdążył. Pobiegł między pobliskie bloki, żeby tam się skryć.

Następnego dnia znaleźli go w czyjejs piwnicy, miał poderżnięte gardło, a twarz zastygła mu w tak potwornym wyrazie, jakby tuż przed śmiercią ujrzał prawdziwego upiora.

W innej części Warszawy, nieopodal Pola Mokotowskiego, mieszkanie na trzecim piętrze jednego z wieżowców zajmował Jacek Krawczyk, trzydziestopięcioletni dziennikarz, historyk z zamiłowania i tropiciel zagadek z przeszłości. Mężczyzna bezdzietny, od pięciu lat rozwiedziony.

– Znowu pada, co za przekłeta pogoda! – mruknął Krawczyk pod nosem, zamknął z łoskotem okno i podszedł do biurka, na którym stał komputer z wielkim monitorem. Czas zajrzeć na portal aukcyjny.

Szperanie było jego hobby. Od wielu lat myszkował po internecie w poszukiwaniu skarbów. Niestety, wciąż bez spektakularnego sukcesu.

Inni coś znajdowali – a to obraz wybitnego malarza za psie pieniądze, a to komodę pamiętającą cesarza Napoleona za pół ceny czy wazę z czasów dynastii Ming półdarmo. Tylko on nigdy nic ciekawego nie miał w koszyku. Niemniej jednak nie tracił nadziei, codziennie włączając komputer, myślał: „może tym razem będzie lepiej”.

Przeglądanie zawsze zaczynał od swojego konika, portalu poświęconego białej broni. Przez ostatnie kilkanaście lat zgromadził dość sporą jej kolekcję.

Częściowo to przez nią Doroty i jego drogi się rozeszły. Żona miała serdecznie dość żelastwa w pawlaczach, pod stołem, pod łóżkiem, a nawet za sedesem. Kilka razy spadło jej coś ciężkiego na głowę, a raz została lekko ranna i wymagała kilkudniowej hospitalizacji.

Wtedy przelała się czara goryczy.

Któregoś razu Dorota pojechała na sympozjum do Gdańska, zauroczyła się kolegą po fachu, może dlatego, że nie miał żadnego hobby, i klamka zapadła.

Żona Krawczyka wróciła do Warszawy i powiedziała: „dość!”, po czym spakowała walizy i tyle ją widział.

Tym sposobem Jacek został sam.

Teraz mijala trzecia godzina poszukiwań i nic. Lewą ręką mieszał bodajże czwartą kawę, prawą utrzymaną na myszy przewijał ekran.

Wtem coś mu przemknęło przed oczami, szybko cofnął pokrętko.

Był to sztylet o charakterystycznej głowni zakończonej podobizną gryfa. Opis nie zawierał nic ciekawego, przedmiot wykonano po roku tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym, a zatem żaden zabytek, artefakt niegodny uwagi.

Jacek chciał przejść do następnej oferty, ale zanim to uczynił, powiększył zdjęcie, tak dla uspokojenia.

Nagle gorąco uderzyło mu do czoła. Od razu zauważył wyszczerbione ostrze i mocno wytartą rękojeść. Ten sztylet nie był dziełem małych chińskich rączek, tego był pewny. Gdzieś już widział podobny, ale za cholere nie mógł sobie przypomnieć gdzie.

Zerknął na cenę, dwieście złotych, niedużo, może zaryzykować, tym bardziej że sprzedawca mieszkał w Warszawie.

Postanowił, że pojedzie go obejrzeć, a decyzję podejmie na miejscu.

Napisał stosownego mejla i wyszedł z domu.

Na ulicy natknął się na Dąbrowską, sąsiadkę z przeciwka, bardzo gadatliwego babsztyla. Szybko założyła maseczkę i go zaatakowała.

– Witam, panie Jacku, jak zdrówko? Coś źle pan ostatnio wygląda. Tak to jest, jak nie ma kobiety w domu. Nie ma kto ugotować, zadbać o mężczyznę. – Widząc jego zdziwione

spojrzenie, dodała śpiesznie: – Ostatnio narzekał pan na żołądek, martwiłam się o pana. A może dopadł pana ten okropny koronawirus? Mojej znajomej dalsza krewna złapała go na rynku. Trzy tygodnie leżała w szpitalu przez głupią główkę kapusty, ale, chwała Bogu, już jest lepiej. Może potrzebuje pan opieki?

Na jej twarzy pojawił się zalotny uśmiech.

Krawczyk zdenerwował się, bo nic go tak nie wkurzało jak nachalne kobiece zaloty. Jego nauczono, że to mężczyzna podrywa kobietę, a nie na odwrót. Albo go źle wychowano, albo czasy się zmieniły. Trudno było mu to jednoznacznie ocenić.

– Już wszystko w porządku – bąknął na odczepnego i minął kobietę.

– Gdyby chciał się pan napić dobrej kawy, to zawsze zapraszam – usłyszał za plecami.

– Jasne. Może kiedyś – rzekł. „Na pewno, ty stara czarownico, już lecę” – zaśmiał się w duchu.

Zbiegł schodami do metra i pojechał do centrum na zakupy.

Wciąż myślał o sztylecie, przed oczami miał jego fotografię. Czyżby wreszcie los się do niego uśmiechnął? Czuł, że to może być okazja jego życia.

Od rana nic nie jadł, nie miał na to czasu. Przy Marszałkowskiej dokonał szybkich zakupów spożywczych. Spieszył się, ale nie mógł się oprzeć, kiedy na wystawie księgarni zobaczył najnowszy album o Warszawie wydawnictwa Skarpa Warszawska. Musiał go mieć!

Wrócił do domu, usiadł przed komputerem i zalogował się na służbowe konto. Przez tego przekłętego koronawirusa musiał pracować zdalnie, a tego nie cierpiał. Męczyła go

samotność, zawsze czuł silną potrzebę przebywania wśród ludzi, w towarzystwie czuł się jak ryba w wodzie.

Jeśli ta zaraza będzie dalej trwała, myślał, to za rok, może dwa, założy trepy na stopy, wciągnie na siebie zgrzebne odzienie i zostanie prawdziwym pustelnikiem.

Może czas na drastyczne decyzje, może trzeba kupić sobie psa? To było dobre pytanie i należało się nad nim pochylić.

Ładnego czworonoga miała Monika, koleżanka ze studiów. Mieszkała kilka bloków dalej. Nieraz widział, jak wyprowadzała na spacer Lunę, tak miał na imię jej pies; właściwie to była suczka, choć kawaler, to znaczy cavalier, czy jak mu tam. Nie znał się na rasach psów i przez to ciągle mu się myliły.

Kiedyś nawet zagadnął Monikę o szczeniaki, zaprosiła go do siebie, miała mu podać adres hodowli. Świetny pretekst, żeby się zintegrować, ale pilne wezwanie do pracy wszystko zepsuło. To było już jakieś przekleństwo.

Od studiów się w niej bujał. Próbował ją omotać, zauroczyć własną osobą i wtedy przydarzył mu się ten cholerny wypadek. Furmanka powożona przez jakiegoś dziadka wyjechała mu tuż przed maskę samochodu. Z całym impetem wbił się w wóz pełen siana i zatrzymał dopiero przy końskim ogonie. Pół roku przeleżał w gipsie, a kiedy wrócił ze szpitala, to było już pozamiatane. Pewien koleś z medycyny sprzątnął mu Monikę sprzed nosa, i to na amen, bo się z nią ożenił.

Małżeństwo, co za durny wynalazek.

Jacek spojrzął na zegarek, dochodziła osiemnasta. Stał przed mrówkowcem przy ulicy Wilanowskiej, gdzie mieszkał właściciel zagadkowego noża. Czuł silne podniecenie, oby się nie zawiódł.

Podszedł do wejścia. Bez trudu znalazł właściwy przycisk. Wcisnął go, elektrozaczep zamka zgrzytnął i drzwi stały przed nim otworem.

Wjechał windą na czwarte piętro. Numerem siedemdziesiąt osiem oznaczono drugie drzwi po lewej. Klatka schodowa była świeżo pomalowana, ale na ścianie widniał wykonany zielonym sprayem wielki napis: „Jebać Lecha”.

„Ktoś tu musi być oddanym kibicem Legii, a Lecha już niekoniecznie” – pomyślał Krawczyk.

Zapukał do drzwi.

W progu pojawił się chłopak, może szesnastoletni. Wygolona głowa, tatuaże na rękach. Nawet niezłe, Jacek sam kiedyś o tym myślał. Wytatuować sobie taki typu rękaw z motywem podróźniczym – starą mapą na przedramieniu – to by było coś. Pewnie gnojek maczał ręce w tej twórczości ściennej, wyglądał na blokowego artystę.

– Dzień dobry, byłem umówiony. Jestem z ogłoszenia.

– Wchodź pan.

Chłopak poprowadził go do pokoju, zapewne swojego. Na ścianach wisały proporce Legii, a nad łóżkiem wielkie zdjęcie drużyny, ale nieaktualne, bo w składzie był Pazdan, a on kilka lat temu opuścił klub. Cienias z młodego, bo o tym nawet Jacek wiedział. Gospodarz podszedł do biurka i chwilę grzebał w szufladzie.

– To on. – Podał mu sztylet.

Jackowi serce mocniej zabiło. Nie musiał się szczególnie przyglądać, żeby zorientować się, co trzyma w ręku. To było dzieło sztuki, prawdziwy rarytas. Wprawdzie bardzo brudny, podniszczony i przez to na pierwszy rzut oka sprawiał złe wrażenie.

Miał w dłoni skarb wart fortunę, a wyceniony przez dyletanta na nędzne dwieście złotych. Jak ten chłopak go zdobył?